Mario Vargas Llosa

Pochwała macochy

PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE

znak

Mario Vargas Llosa

Pochwała macochy

przekład Carlos Marrodán Casas

Wydawnictwo Znak • Kraków 2009

1. Urodziny doñi Lukrecji

W dniu czterdziestych urodzin doña Lukrecja znalazła na poduszce laurkę wykaligrafowaną z wielką czułością przez dziecięcą rączkę:

„Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, macocho!

Nie mam pieniędzy na prezent dla ciebie, ale będę się pilnie uczył, zostanę prymusem i to będzie mój prezent. Jesteś dobra jak nikt i jesteś najpiękniejsza, i co noc mi się śnisz.

Jeszcze raz wszystkiego najlepszego!

Alfonso".

Minęła już północ, a don Rigoberto wciąż siedział w łazience, oddając się skomplikowanym i powolnym ablucjom przed nocnym spoczynkiem. (Dbałość o higienę cielesną była, prócz malarstwa erotycznego, jego ulubionym zajęciem; czystość duchowa już go tak nie pociągała). Wzruszona życzeniami chłopca, doña Lukrecja poczuła nieprzepartą chęć, by zajrzeć do niego i podziękować za laurkę. Tych parę linijek, tak naprawdę, oznaczało, że została zaakceptowana jako nowy członek rodziny. Śpi już? Nieważne!

Nawet jeśli śpi, pocałuje go w czółko, bardzo ostrożnie, żeby go nie zbudzić.

Zeszła po obitych dywanikiem schodach rezydencji tonącej w ciemnościach i podążając ku sypialni Alfonsa, myślała: „Już jest mój, kocha mnie". I wszystkie jej uprzednie obawy co do chłopca zaczęły rozwiewać się jak delikatna mgiełka w letnim słońcu Limy. Zapomniała narzucić szlafrok, była naga pod lekką koszulką z czarnego jedwabiu i jej białe, bujne, wciąż jędrne kształty zdawały się płynąć w półmroku rozjaśnianym od czasu do czasu blaskiem ulicznych świateł. Miała rozpuszczone długie włosy i nie zdążyła jeszcze zdjąć po przyjęciu kolczyków, pierścionków i naszyjników.

W pokoju dziecka – prawda! Fonsio zawsze czyta do późna! – paliło się światło. Doña Lukrecja delikatnie zapukała i weszła. W żółtawym blasku nocnej lampki wychyliła się zza okładki książki Aleksandra Dumasa wystraszona twarzyczka Bożego Dzieciątka. Rozwichrzone złote loki, rozchylone zdumieniem usta ukazujące podwójny rząd bieluteńkich zębów, ogromne, szeroko otwarte, niebieskie oczy usiłujące wyłowić ją z mroku. Doña Lukrecja stała nieruchomo, przypatrując mu się z czułością. Śliczny chłopczyk! Urodzony anioł, jeden z tych paziów ze swawolnych rycin, które jej mąż trzyma pod kluczem.

– To ty, macocho?

– Jaką piękną laurkę mi wypisałeś, Fonsiu. To najpiękniejszy prezent urodzinowy, jaki dostałam w życiu, przysięgam.

Chłopczyk poderwał się jednym susem i już stał na łóżku. Uśmiechał się, wyciągając do niej ręce. Podchodząc do niego, również z uśmiechem, doña Lukrecja podchwyciła – odgadła? – radosne i pełne zakłopotania spojrzenie pasierba, który, osłupiały, gapił się na jej biust. „Mój Boże, przecież jesteś prawie naga –

pomyślała. – Jak mogłaś, idiotko, zapomnieć o szlafroku. Co za widok dla biednego dziecka". Czyżby wypiła o parę kieliszków za dużo?

Ale Alfonsito już ją obejmował: „Wszystkiego najlepszego, macocho!". Jego głos, świeży i beztroski, rozświetlał noc. Doña Lukrecja poczuła przywierającą do jej ciała wątłą postać o kruchych kościach i pomyślała o wróbelku. Przyszło jej na myśl, że jeśli zbyt mocno przytuli dziecko, chłopczyk złamie się jak trzcina. Teraz, gdy stał na łóżku, byli tego samego wzrostu. Zarzucił jej na szyję szczuplutkie ramiona, całując z niezwykłym oddaniem w policzek. Doña Lukrecja również go przytuliła, a jedna z jej rąk, wśliznąwszy się pod granatową piżamę w czerwone paski, przesunęła się po jego plecach i poklepała opuszkami palców delikatne wypukłości kręgosłupa. „Bardzo cię kocham, macocho", wyszeptał głosik tuż przy jej uchu. Doña Lukrecja poczuła, jak drobne dziecięce wargi zatrzymują się tuż przy jej uchu, rozgrzewają je swym oddechem, całują i lekko, żartobliwie kąsają. Miała wrażenie, że Alfonsito, pieszcząc ją, śmieje się zarazem. Wzruszenie rozsadzało jej piersi. I pomyśleć, że przyjaciółki przestrzegały ją, iż ten pasierb będzie największym problemem w jej małżeństwie i z jego powodu nigdy nie będzie szczęśliwa z don Rigobertem. Rozczulona pocałowała go również, w policzki, w czółko, w rozwichrzone włosy, doznając jednocześnie nieokreślonego, jakby odległego i niewyraźnego wrażenia, że dziwny dreszcz przenika ją od stóp po głowę, zwłaszcza w tych miejscach – na piersiach, brzuchu, zewnętrznej stronie ud, szyi, ramionach, policzkach – których dotykało dziecko. Ale Alfonsito nie puszczał jej. Wprost przeciwnie, trzymał ją z całej siły i niemal śpiewając, powtarzał: „Bardzo, ale to bardzo, macocho, ciebie najbardziej ze wszystkich". Po czym jego rączki oplotły jej głowę i przechyliły do tyłu. Doña Lukrecja

poczuła grad pocałunków na czole, na powiekach, na brwiach, na policzku, na podbródku... Kiedy drobne wargi musnęły jej usta, zmieszana zacisnęła zęby. Czy Fonsio zdaje sobie sprawę z tego, co robi? Powinna go zdecydowanie odepchnąć? Ależ nie, skądże, jak tu podejrzewać o najmniejszą choćby przewrotność tę trzpiotowatą figlarność ruchliwych ust, które pobłądziwszy w geografii jej twarzy, kilkakroć łapczywie przywarły do jej warg.

– Starczy tego, a teraz spatulki – powiedziała, uwalniając się wreszcie z ramion dziecka. Starała się okazać, wbrew oczywistości, że całkowicie panuje nad sobą. – Bo możesz zaspać i spóźnisz się do szkoły, kochanie.

Dzieciak, potakując, położył się na łóżku. Uśmiechnięty, z zaróżowionymi policzkami, przyglądał się jej z wyrazem uniesienia na twarzy. Przewrotność? W tym maluchu? Ta rozbrajająca buzia, psotne oczy, drobne, wiercące się pod prześcieradłem ciało – czyż nie jest to uosobienie niewinności? To ty, Lukrecjo, jesteś zepsuta! Przykryła go, poprawiła poduszkę, pocałowała w kręcone włosy i zgasiła lampkę. Kiedy wychodziła z pokoju, usłyszała słodki szczebiot:

– Zostanę prymusem i to będzie mój prezent dla ciebie!

– Przyrzekasz, Fonsito?

– Jak Bozię kocham.

W przyjaznym zaciszu schodów doña Lukrecja poczuła, że cała płonie. „Przecież to nie z gorączki", stwierdziła oszołomiona. Czy to możliwe, by nieświadoma pieszczota dziecka doprowadziła ją do takiego stanu? Kobieto, stajesz się rozwiązła. Czyżby to był pierwszy objaw starzenia się? Bo nie ulegało wątpliwości, że cała płonęła i miała wilgotne nogi. Co za wstyd, Lukrecjo, co za wstyd! I nagle przemknęło w jej pamięci wspomnienie związane z pewną jej wyuzdaną przyjaciółką, która w trakcie przyjęcia, wydanego

w celu zebrania funduszy na Czerwony Krzyż, wywołała rumieńce wstydu i nerwowy chichot przy swoim stole, wyznając wszem i wobec, że przespanie nago sjesty obok małoletniego pasierba drapiącego ją w plecy rozpala ją jak pochodnię.

Don Rigoberto, rozebrany, leżał na granatowej kołdrze w deseń przedstawiający skorpiony. W ciemnym pokoju, tylko trochę rozjaśnionym blaskiem ulicznych świateł, jego długa biaława postać, owłosiona na piersiach i wzgórku łonowym, spoczywała bez ruchu, kiedy doña Lukrecja po zdjęciu pantofli kładła się obok, nie dotykając go. Czyżby mąż już spał?

– Gdzie byłaś? – usłyszała jego miękki, ospały szept, tak dobrze jej znany głos mężczyzny znajdującego się u kresu nadziei. – Czemu mnie zostawiłaś samego, życie moje?

– Chciałam pocałować na dobranoc Fonsita. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki list urodzinowy dostałam od niego. Taki słodki, że o mało co się nie popłakałam.

Zorientowała się, że ledwie jej słucha. Poczuła prawą dłoń don Rigoberta na swoim udzie. Parzyła jak gorący kompres. Jego palce zaczęły niezgrabnie przedzierać się przez fałdy i plisy nocnej koszuli. „Zauważy, że jestem cała mokra", pomyślała zakłopotana. Uczucie skrępowania natychmiast jednak minęło, bo ta sama gwałtowna fala ciepła, która zaskoczyła ją na schodach, ponownie zalała jej ciało, usztywniając je zarazem. Odniosła wrażenie, że wszystkie pory rozwarły się w niecierpliwym oczekiwaniu.

– Fonsito widział cię w nocnej koszuli? – zaczął majaczyć roznamiętniony głos męża. – Nabijesz głowę małemu zdrożnymi myślami. Może dziś w nocy będzie miał swój pierwszy erotyczny sen.

Usłyszała jego podniecony chichot i też się zaśmiała: „Co ty wygadujesz, wariacie". Jednocześnie, niby to chcąc dać mu klapsa,

opuściła lewą rękę na brzuch don Rigoberta. Ale dłoń opadła na pulsującą i unoszącą się ludzką włócznię.

– No, no, a to co znowu? – zawołała doña Lukrecja, ściskając ją, ciągnąc, puszczając i ponownie chwytając. – Spójrz no tylko, co za niespodzianka.

Don Rigoberto już ją przyciągnął do siebie i całował, wsysając się w jej usta. Przez dłuższą chwilę, przymknąwszy oczy, czując, jak koniuszek mężowskiego języka penetruje grotę jej ust, wędruje po dziąsłach, podniebieniu, gorliwie usiłuje wszystkiego posmakować i rozpoznać wszystko, doña Lukrecja pogrążyła się w szczęśliwym intensywnym i pulsującym oszołomieniu, które zdawało się osłabiać jej ciało, unicestwiać, unosić, zatapiać, porywać w wir. Na samym dnie tego wiru, który był nią, życiem, chwilami spostrzec było można – jakby wyłaniała się i zanikała w zwierciadle tracącym swe lustrzane srebro – nieproszoną twarzyczkę rumianego aniołka. Mąż podwinął jej koszulę i pieścił jej pośladki jednostajnymi, kolistymi ruchami, całując zarazem piersi. Słyszała, jak czule szepce, że ją kocha, że dzięki niej zaczęło się dla niego prawdziwe życie. Doña Lukrecja pocałowała go w szyję i delikatnie dotknęła zębami jego sutek, póki nie usłyszała jęku, następnie zaczęła lizać owe tak bardzo ją podniecające gniazda, które don Rigoberto przed udaniem się na nocny spoczynek starannie wymył i wypachnił dla niej: pachy. Usłyszała, jak mruczy niczym przymilający się kot i skręca się pod jej ciałem. Jego dłonie zaczęły z ponaglającą zaciętością rozwierać nogi doñi Lukrecji. Zmusiły jej ciało do przykucnięcia na nim, przywarcia do niego, do otwarcia się. Jęknęła, poczuwszy ból i rozkosz, dostrzegając zarazem, w mętnym zawirowaniu, wizerunek świętego Sebastiana przeszytego strzałami, ukrzyżowanego i wbitego na pal. Miała wrażenie, że została trafiona prosto w serce. Przestała się

hamować. Z na wpół przymkniętymi oczami, z rękami założonymi za głowę, prężąc piersi, puściła się w cwał na swym miłosnym źrebięciu kołyszącym się razem z nią, w tym samym rytmie, przeżuwając słowa, które ledwie była w stanie wypowiedzieć, dopóki nie poczuła, że umiera.

– Kim jestem? – zaczęła dopytywać się, gnając na oślep. – Kim byłam, powiedz?

– Małżonką króla Lidii, kochanie – wybuchnął don Rigoberto, błądząc w sennych majakach.

2. Kandaules, król Lidii

Jam jest Kandaules, król Lidii, małej krainy pomiędzy Jonią a Karią, w samym sercu terytorium, które po upływie wieków zwać się będzie Turcją. Tym, co najbardziej wbija mnie w dumę, nie są popękane od spiekoty góry mojego królestwa ani pasterze trzód kozich, podejmujący, w razie potrzeby, zwycięską walkę zarówno z najeźdźcami frygijskimi i eolskimi, z Dorami przybywającymi z Azji, jak i przeciw bandom Fenicjan, Lacedemończyków i nomadów scytyjskich, docierających tu z zamiarem splądrowania naszych kresów – lecz zad Lukrecji, mej małżonki.

Powiadam i powtarzam: zad. Nie zadeczek, nie dupa, nie pośladki, nie tyłek, lecz zad. Albowiem wrażenie, któremu ulegam, gdy go dosiadam, jest takie, a nie inne: a mianowicie, że oto cwałuję na muskularnej, o aksamitnej maści, rączej i posłusznej klaczy. Jest to zad twardy i nieomal tak wielki, jak to głoszą przeróżne legendy, które obiegają królestwo, rozpalając wyobraźnię moich poddanych (do moich uszu docierają wszystkie, ale nie uwłaczają mi, wprost przeciwnie, pochlebiają). Kiedy nakazuję jej klęknąć i dotknąć czołem dywanu, tak iżbym mógł przyjrzeć się zadowi do syta, ów cudny obiekt osiąga swoje najbardziej urzekające

rozmiary. Każda z półkul jest cielesnym rajem; obie, rozdzielone delikatną, pokrytą niemal niedostrzegalnym meszkiem szczeliną, zanurzają się w lesie bieli, czerni i rozkosznych jedwabistości wieńczących solidne kolumny ud, nasuwają mi na myśl ołtarz czczony przez wyznawców owej barbarzyńskiej, a przez naszą religię wykorzenionej wiary babilońskiej. Twardy w dotyku, słodycz niesie ustom; nieogarnięty dla ramion, ciepły w chłodne noce, jest czułą poduszką dla znużonej głowy i źródłem rozkoszy w godzinę miłosnego natarcia. Wniknąć weń nie jest rzeczą łatwą; bolesną raczej, z początku, a nawet heroiczną, zważywszy opór, jaki stawia ta różowawa mięsistość męskiemu szturmowi. Niezbędny jest tu ktoś obdarzony niecofającą się przed niczym i nikim twardą wolą i równie nieustępliwym, wytrwałym, przeszywającym dogłębnie trzpieniem – ktoś taki jak ja.

Kiedym wyznał Gygesowi, synowi Dascyla, dowódcy mojej straży przybocznej i ministrowi zarazem, iż dumniejszy jestem z wyczynów mojej pały z Lukrecją na sunącym pod pełnymi żaglami okazałym statku małżeńskiego łoża niż z moich dokonań bitewnych czy z bezstronności, z jaką wymierzam sprawiedliwość, on, uznawszy to za dowcip, wybuchnął śmiechem. Ale to nie był dowcip: świadczę własną osobą. Wątpię, aby wielu moich poddanych mogło mierzyć się ze mną. Pewnej nocy – a byłem pijany – chcąc jedynie utwierdzić się w tym mniemaniu, wezwałem do sypialni Atlasa, najlepiej uzbrojonego spośród etiopskich niewolników. Skłoniłem Lukrecję, by klękła przed nim, jemu zaś rozkazałem, by jej dosiadł. Nie dokonał tego, być może wylękniony moją obecnością, a może dlatego, że wyzwanie przekraczało jego możliwości. Widziałem, jak wielokrotnie nacierał śmiało, parł, dysząc, i cofał się pokonany. (Mając na względzie, iż pamięć o tym epizodzie sprawiała Lukrecji istne katusze, kazałem później ściąć głowę Atlasowi).

Bo zaprawdę, ja kocham królową. Wszystko w mojej małżonce, w przeciwieństwie do wybujałej wspaniałości jej zadu, jest łagodną słodyczą: jej ręce i nogi, jej kibić i usta. Obdarzona jest zadartym nosem i tęsknymi oczami o tajemniczo spokojnych wodach, które rozkosz jedynie i gniew potrafią wzburzyć. Przebadałem ją, tak jak czynią to erudyci ze starymi foliałami w Świątyni, i aczkolwiek zdaje mi się, iż znam ją na pamięć, nie ma dnia – a raczej nocy – bym nie odkrył w niej czegoś nowego, co jeszcze bardziej mnie rozczula: łagodnej linii ramion, figlarnej kosteczki łokcia, subtelności podbicia stopy, krągłości kolan i błękitnej przejrzystości pach.

Są i tacy, którzy nader szybko nużą się swą prawowitą małżonką. Małżeńska rutyna zabija pożądanie, filozofują, jakież to marzenia są w stanie przetrwać i burzyć krew mężczyzny sypiającego miesiącami i latami z tą samą kobietą. We mnie jednak, i to pomimo już wielu lat małżeństwa, Lukrecja nie wzbudza cienia niechęci. Nigdy mnie nie znudziła. Kiedy wyruszam na łowy na tygrysa i słonia lub na wojnę, na jej wspomnienie serce goreje mi równie silnie jak za pierwszych dni, kiedy zaś pieszczę jedną z mych niewolnic lub jakąkolwiek inną kobietę, by odpędzić nocną samotność w namiocie, moje dłonie odczuwają zawsze bolesne rozczarowanie: to są zaledwie zadeczki, pośladki, tyłeczki, dupcie. Ona jedynie – o, ukochana! – obdarzona jest zadem. Dlatego jestem jej wierny; dlatego ją miłuję. Dlatego tworzę dla niej wiersze, które recytuję jej na ucho, a gdy jesteśmy sam na sam, padam twarzą na ziemię, by całować jej stopy. Dlatego jej kufry napełniłem klejnotami i szlachetnymi kamieniami i rozkazałem sprowadzić ze wszystkich stron świata owe trzewiki, szaty i ozdoby, których nigdy nie zdoła nawet przymierzyć. Dlatego wielbię ją i dbam o nią jak o najcenniejsze bogactwo mego królestwa. Bez Lukrecji życie dla mnie oznaczałoby śmierć.

To, co rzeczywiście przydarzyło się z Gygesem, dowódcą mojej straży i ministrem zarazem, ma niewiele wspólnego z krążącymi na ów temat plotkami. Żadna z wersji, która dotarła do mych uszu, nie ociera się nawet o prawdę. Zawsze tak jest: aczkolwiek fantazja i rzeczywistość mają to samo serce, ich twarze są jak dzień i noc, jak ogień i woda. Nie było mowy o żadnym zakładzie czy transakcji; wszystko zdarzyło się nieoczekiwanie, już to wskutek mojego nagłego odruchu, już to przez przypadek lub w wyniku intrygi jednego ze swawolnych bożków.

Uczestniczyliśmy w nieskończenie długiej ceremonii na przylegającym do Pałacu polu, gdzie zgromadzone plemiona składały mi daninę, ogłuszając nasze uszy barbarzyńskimi śpiewami, oślepiając nas zarazem wzbijanymi przez akrobacje jeźdźców tumanami kurzu. Wystąpiła przed nami również para owych czarowników leczących wszelkie przypadłości za pomocą popiołów zmarłych oraz święty, który modlił się, kręcąc się wokół własnej osi na piętach. Ten ostatni zrobił na nas duże wrażenie: siłą swojej wiary i w wyniku odpowiednich, towarzyszących tańcowi, ćwiczeń oddechu – chrapliwemu, wzrastającemu dyszeniu wychodzącemu jakby z jego trzewi – przeistoczył się w ludzką trąbę powietrzną, wirując w pewnym momencie z taką szybkością, iż zniknął nam z oczu. Kiedy ponownie ucieleśnił się i zatrzymał, spływał potem niczym konie po szarży, blady, oszołomiony, ze wzrokiem nieprzytomnym tą nieprzytomnością oczu, które ujrzały jednego z bogów lub wielu.

O czarownikach i świętym wiedliśmy rozmowę z moim ministrem, kosztując greckiego wina, kiedy zacny Gyges, z owym przewrotnym błyskiem w oczach pojawiającym się, ilekroć przekroczy miarę w piciu, zniżył nagle głos i wyszeptał:

– Egipcjanka, którą ostatnio kupiłem, ma najpiękniejszy z tyłków, jakimi Opatrzność kiedykolwiek obdarzyła kobietę. Jej

obliczu daleko do doskonałości; piersi drobne i poci się nadmiernie; ale obfitość i szczodrość zadnich części aż nadto wynagradza wszystkie jej ułomności. Jest to coś, Wasza Królewska Mość, na wspomnienie czego dostaję zawrotów głowy.

– Pokaż mi go, ja zaś pokażę ci inny. Porównamy i zadecydujemy, który jest lepszy, Gygesie.

Spostrzegłem, że zmieszał się, zamrugał powiekami, otworzył usta, by wreszcie nic nie powiedzieć. Czyżby sądził, że sobie z niego dworuję? Może obawiał się, że się przesłyszał? Mój dowódca straży i minister dobrze wiedział, o kim mówimy. Wystąpiłem z tą propozycją, nie zastanawiając się, lecz gdy już padła, słodkawy robaczek począł toczyć mój mózg i wzniecać pragnienie.

– Oniemiałeś, Gygesie. Co ci się stało?

– Nie wiem, co mam odpowiedzieć, panie. Jestem zakłopotany.

– Widzę. Ale zdecyduj się wreszcie. Przyjmujesz moją propozycję?

– Wasza Królewska Wysokość dobrze wie, że jego pragnienia są i moimi pragnieniami.

W ten oto sposób zaczęło się wszystko. Wpierw udaliśmy się do jego rezydencji i w głębi ogrodu, w części, gdzie mieszczą się łaźnie, podczas gdy pociliśmy się, a masażysta przywracał siły naszym członkom, przebadałem Egipcjankę. Kobietę nader wysoką, o twarzy zniszczonej bliznami po owych ranach, które ludzie jej rasy zadają, poświęcając dojrzewające dziewczyny swemu krwiożerczemu bogu. Młodość miała już za sobą. Jednakże była interesująca i atrakcyjna, przyznaję. Jej hebanowa skóra lśniła w chmurach pary jak wypolerowana, a wszystkie jej ruchy i obejście ujawniały niezwykłą dumę. Nie dostrzegało się w niej najmniejszej choćby oznaki owej nikczemnej służalczości, tak często

spotykanej u niewolników usiłujących jak bądź wkraść się w łaski swych panów, cechował ją raczej elegancki chłód. Nie rozumiała naszej mowy, ale w lot chwytała polecenia wydawane jej na migi przez pana. Kiedy Gyges przekazał jej, co pragniemy ujrzeć, Egipcjanka, obrzuciwszy nas swym jedwabistym i pogardliwym spojrzeniem, wykonała pół obrotu, schyliła się i uniósłszy rękami tunikę, obdarzyła nas swym zadnim światem. Był, istotnie, znaczący i pełen cudowności dla kogoś, kto nie był mężem Lukrecji, królowej. Twardy i kulisty, owszem, o delikatnie skręcających liniach, pokryty gładką, drobnoziarnistą skórą o błękitnawym odcieniu, po której spojrzenie ślizgało się niczym po morskich falach. Złożyłem jej wyrazy uznania, a i powinszowałem mojemu dowódcy i ministrowi, iż jest właścicielem tak słodkiej rozkoszy.

Pragnąc przeprowadzić pozostałą i mnie przynależną część propozycji, musieliśmy przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności. Owo zdarzenie z Atlasem, niewolnikiem, stało się przyczyną udręki mej małżonki, wspominałem już o tym; a przystała na to, bo Lukrecja zaspokaja wszystkie moje kaprysy. Ale naonczas, gdy Atlas i ona bezowocnie starali się odegrać wytwór mej fantazji, ujrzałem ją tak dalece zawstydzoną, iż poprzysiągłem sobie nigdy nie poddawać jej podobnym próbom. Jeszcze teraz, choć od tamtego incydentu upłynęło tak wiele czasu, a z biednego Atlasa nie pozostało już nic prócz białych kości w cuchnącym wąwozie pełnym sępów i sokołów, gdzie zrzucono jego szczątki, królowa budzi się czasem po nocach w mych ramionach przejęta trwogą, w jej snach bowiem gorejący cień Etiopczyka ponownie kładzie się na niej.

Tym razem więc przygotowałem wszystko tak, aby ma ukochana o niczym nie wiedziała. Takie przynajmniej były moje zamiary, aczkolwiek, rozpamiętując rzecz całą, grzebiąc w zakamarkach

pamięci, by uzmysłowić sobie wydarzenia owej nocy, powątpiewam czasami.

Wpuściłem Gygesa furtą ogrodową i wprowadziłem do komnat w chwili, gdy panny służebne rozbierały Lukrecję, perfumowały i maściły olejkami, które tak lubię wąchać i smakować na jej ciele. Poleciłem mojemu ministrowi, by skrył się za balkonową zasłoną, nakazując zarazem, by nie zdradził się żadnym ruchem ni hałasem najmniejszym. Podpatrując z tego kąta, miał doskonały widok na wspaniałe łoże z rzeźbionymi kolumnami, prowadzącymi doń małymi schodkami, osłonięte zasłonami z czerwonej satyny, całe w poduszeczkach, jedwabiach i haftach przepięknych, gdzie każdej nocy udajemy się z królową na spoczynek miłosny. I zgasiłem wszystkie kaganki, tak iż sypialnię oświetlały jedynie trzaskające jęzory ognia.

Lukrecja weszła w chwilę później, płynąc w powiewnej, półprzezroczystej koszuli z białego jedwabiu, obrzeżonej misternymi koronkami na przegubach i przy szyi. Miała na sobie naszyjnik z pereł, czepek, jej stopy zaś obute były w pilśniowe pantofle na wysokim, drewnianym obcasie.

I taką ją miałem przed oczyma przez czas jakiś, smakując ją wzrokiem, obdarzając mego zacnego ministra tym widowiskiem godnym wyłącznie bogów. I przypatrując jej się, i myśląc, że Gyges takoż to czyni, poczułem nagle, iż owo przewrotne łączące nas wspólnictwo roznieca we mnie żądzę. Bez słowa rzuciłem się na nią, pchnąłem na łoże i dosiadłem jej. Gdy ją pieściłem, ukazywało mi się brodate oblicze Gygesa, i myśl, iż nas podgląda, jeszcze bardziej mnie rozpalała, doprawiając moją rozkosz słodko-kwaśną i pikantną przyprawą, do tej pory mi nieznaną. A ona? Domyślała się czegokolwiek? Wiedziała? Albowiem wydaje mi się, że nigdy nie czułem jej tak rozognionej, tak pożądliwej w ofiarowywaniu i przyjmowaniu, tak śmiałej w kąsaniu, w pocałunkach,

w uściskach. Być może przeczuwała, iż tej nocy doznajemy, w tym rozżarzonym od płomieni i pożądania pokoju, rozkoszy nie we dwoje, lecz we troje.

Kiedy o świcie, widząc, iż Lukrecja usnęła, wymknąłem się na palcach z łoża, by poprowadzić mego dowódcę i ministra ku wyjściu z ogrodu, zastałem go dygocącego z zimna i zadziwienia.

– Wasza Wysokość ma rację – wybełkotał, trzęsąc się w upojeniu. – Widziałem go i zaiste jest tak wspaniały, iż nie mogę dać temu wiary. Widziałem go i wciąż nie mogę oprzeć się wrażeniu, że było to jedynie senne widziadło.

– Zapomnij o tym wszystkim jak najszybciej i na zawsze, Gygesie – rozkazałem mu. – Obdarzyłem cię tym przywilejem w chwili dziwacznego uniesienia, bez zastanowienia, przez wzgląd na moją życzliwość wobec twej osoby. Ale: język za zębami. Nie życzyłbym sobie, aby zdarzenie owo przerodziło się w knajpianą pogłoskę i bazarową plotkę. Mógłbym pożałować, że w ogóle cię tu sprowadziłem.

Przysiągł, iż nigdy słowem o tym nie wspomni.

Ale uczynił to. Nie inaczej, bo skąd wzięłoby się tyle opowieści o tym wydarzeniu? Poszczególne wersje wzajemnie sobie przeczą, a jedna bardziej bzdurna i kłamliwsza od drugiej. Dochodzą naszych uszu i choć z początku napełniały nas gniewem, teraz wyłącznie nas bawią. Stało się to cząstką tego małego południowego królestwa, które z upływem wieków zwać będą Turcją. Jak wypalone spiekotą góry i nieokrzesani poddani, jak koczujące plemiona, sokoły i niedźwiedzie. Mimo wszystko nie sprawia mi żadnej przykrości myśl, iż w miarę upływu czasu zmiatającego z oblicza ziemi wszystko, co w tej chwili istnieje i co mnie otacza, w pamięci przyszłych pokoleń, na wodach unoszących szczątki historii Lidii, przetrwa jedynie krągły, słoneczny, hojny, niczym nadchodząca wiosna, zad Lukrecji, królowej, małżonki mej.

Spis treści

1. Urodziny doñi Lukrecji 9
2. Kandaules, król Lidii 16
3. Środowe uszy 24
4. Oczy jak świetliki 30
5. Diana po kąpieli 41
6. Ablucje don Rigoberta 47
7. Wenus z miłością i z muzyką 59
8. Sól jego łez 66
9. Wizerunek człowieczy 73
10. Guzowaty i zmysłowy 77
11. Sjesta 85
12. Labirynt miłości 94
13. Brzydkie wyrazy 98
14. Różowy młodzieniec 107

Epilog 112

Tę powieść powinno się spalić.
Nie czytaj jej. Odłóż z powrotem na półkę.
Jest zbyt rozpasana, perwersyjna i wyuzdana.

Mario Vargas Llosa musiał pisać tę książkę z uśmieszkiem wyrafinowanego oszusta, którego nic tak nie cieszy jak naciąganie czytelnika. W samym środku gęstego od namiętnych uniesień małżeńskiego życia don Rigoberta i doñi Lukrecji tkwi niewinne pacholę. Mały Fonsito, syn z pierwszego małżeństwa don Rigoberta, nie ma co konkurować o względy ojca z piękną kobietą o ponętnych kształtach, jakimi natura hojnie obdarzyła szczęśliwą żonę. Niewinność dziecka tłamszona jest przez moralną rozwiązłość rodziców.
A może dziecko wcale nie jest dzieckiem, a niewinność ma zbyt wiele wspólnego z rozwiązłością?
Kto tu właściwie jest krętaczem?
Fonsito, Rigoberto, Lukrecja czy Mario Vargas Llosa?
Może jednak czytelnik, skoro sięga po powieść, której nie powinien czytać?

Ciotka Julia i skryba to czysta rozpusta, ale *Pochwała macochy*…
Nie, nie czytaj tej książki!

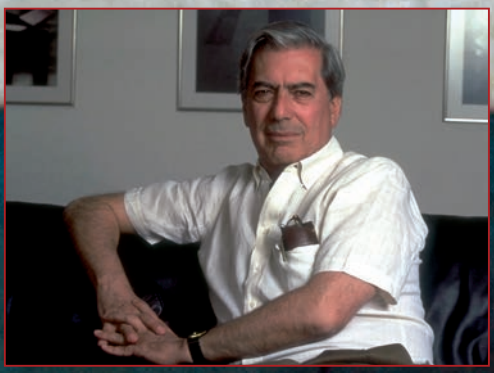

Mario Vargas Llosa
(ur. w 1936 roku w Peru), jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy, autor wielu powieści, opowiadań, sztuk teatralnych, publicysta i polityk. Jest laureatem wielu prestiżowych nagród literackich i jednym z poważniejszych kandydatów do Nagrody Nobla. Wśród jego najlepszych powieści znajdują się między innymi: *Ciotka Julia i skryba*, *Kto zabił Palomina Molero?*, *Miasto i psy*, *Święto Kozła* oraz *Pantaleon i wizytantki*, *Szelmostwa niegrzecznej dziewczynki*, *Wojna końca świata*, *Rozmowa w „Katedrze"*.

Cena detal. 29,90 zł

ISBN 978-83-240-1146-9
9 788324 011469

www.znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

więcej na: www.mariovargasllosa.pl